

Zimowa przechadzka / Amerykanka / 1922

Wielka Wojna zakończyła się w 1917 roku zawieszeniem broni. Niemcy i Austro-Węgry nie przegrały. Narratorem i głównym bohaterem tych tekstów jest Alexander Stegemann, skromny wykładowca na prowincjonalnym uniwersytecie austriackim. Pochodzący z rodziny o mieszanych, brytyjsko-niemieckich korzeniach Stegemann stara się bezpiecznie poruszać wśród zawiłości powojennego świata. Niniejsze rozdziały stanowią część dłuższej narracji, w której Stegemann zostaje wysłany w styczniu 1922, aby ocenić pracę Anglika niedawno mianowanego na (nowo utworzonym) Universität Danzig. W rzeczywistości Stegemann otrzymał zlecenie od wywiadu wojskowego w Berlinie, by ustalić, czy ów Anglik nie jest brytyjskim agentem, którego zadaniem jest szpiegowanie prac prowadzonych w Cesarskiej Stoczni w Danzigu. Stegemann oraz Anglik wraz ze swoją amerykańską żoną wynajmują pokoje w Zoppocie. Przygody Stegemanna z lat dwudziestych XX wieku zostają opisane w powieści zatytułowanej *Speak for England*. Te z początku lat trzydziestych są tematem *Jump Here, Jump Now*. DM

Rozdział 8.

W ciemności i chłodzie, wśród nagich drzew, błąkałem się po ulicach Zoppotu, próbując rozchodzić jakieś nieokreślone niepokoje, odnaleźć jakiś trop zagadki, której sensu nie znałem.

Thalmühlweg wzdłuż torów kolejowych, Schefflerstraße, Nordstraße, potem Südstraße aż do gazowni, a stamtąd okrężną drogą z powrotem na zbocze Seestraße, pustej i lśniącej w świetle latarni. Potem, jakby to wciąż było za mało, pod górę, między willami, Bergstraße aż do cegielni i dalej na Brombergstraße, która urywała się wśród jodeł opadających ku dolinie Schildlitztal. A potem, oczywiście, jakby przypadkiem, skręciłem w Marienstraße.

Czego się spodziewałem, a co obawiałem się zobaczyć? Na co liczyłem, a czego się lękałem, że się wydarzy?

Tego wilgotnego popołudnia było już ciemno, jak zawsze w styczniu. Stałem przy wiecznie zielonych, wiecznie ociekających krzewach, tam, gdzie Marienstraße łączy się z Benzlerstraße.

Nagle z ganku domu Seatonów padł snop światła. Natychmiast zgasł. Wyszedł mężczyzna – ciemna sylwetka, kapelusz naciągnięty na czoło, kołnierz płaszcza postawiony wysoko. Zaledwie zrobił kilka kroków, gdy drzwi ganku znów się otworzyły i na tle nikłego światła sączącego się z wnętrza kobieca postać (tak mi się przynajmniej zdawało)

zawołała coś – imię? rozkaz? pieszczotę? – z ciemności. Zawrócił. Oplotła ramionami jego szyję, przyciągnęła go do siebie, odsunęła mu kapelusz i pocałowali się namiętnie. Rozległ się śmiech i kobieta znów zamknęła drzwi. On odwrócił się; kapelusz wciąż miał odsunięty; przez chwilę światło latarni ulicznej padło na jego twarz. Młody. Przystojny. Mocna szczeka.

Zaniepokojony cofnąłem się w głąb krzewów. Woda kapłała mi za kołnierz. Lecz on skręcił w stronę Nordstraße i Zatoki. Jego kroki zabrzmiały głośno, po czym ucichły, gdy ciemność zgęstniała jeszcze bardziej.

I co ty na to?, myślałem sobie.

Rozdział 10.

To wszystko było zbyt realne. Prawdziwe ciało. Prawdziwe twarze. Prawdziwy ogień. Prawdziwy ból.

Wisią tam – na dwa i pół metra wysoki, niemal trzy metry długi – w bocznej kaplicy przy transepcie. W Marienkirche, Kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, dziś surowo zreformowanym, a niegdyś – jak sobie wyobrażałem – bujnie katolickim.

– To wielka stara stodoła, prawda? – powiedział cicho Seaton. Skinąłem głową.

– Największy ceglany kościół na północ od Alp, jak mówią. Byłem skłonny w to uwierzyć.

– Kim był Święty Reinold? – zapytałem. – To jego kaplica. Seaton wzruszył ramionami.

– Podobno benedyktyński mnich. Okoliczności jego śmierci wiążą się z Renaudem de Montauban. Jego koniem był potężny Bajard. Pojawia się w prozatorskim przekładzie Caxtona. Istniały ponoć wersje dramatyczne, ale nigdy nie widziałem ich ani drukiem, ani na scenie.

W centrum obrazu Chrystus unosi się melancholijnie nad globem, otoczony po obu stronach prorokami i uczniami. Poniżej, ostentacyjnie, rozciąga się tęcza. Przy jego prawym uchu lilia, przy lewym – czerwony, rozżarzony miecz. Jeszcze niżej, to zdecydowanie największa postać, stoi spokojny i – powiedziałbym – wyniosły Święty Michał, w pełnej, lśniącej zbroi, trzymający na wadze dwie dusze w akcie psychostazji. Jedna przechyla się na prawo Świętego Michała; druga rozpościera się, unosząc ku szponom czarnego, poszarpanego diabła.

A potem wzrok wędruje ku potępionym. Po prawej stronie patrzącego. Po lewej stronie Chrystusa. To było właśnie to, co było zbyt realne.

– Są tacy nadzy – powiedziałem. – Tyle bezbronnych ciał.

– Tak – odparł Seaton. – A te diabły ze swoimi narzędziami, swoimi przyrządami. Szczypią. Gryzą.

– To przywodzi na myśl wojnę – powiedziałem.

– Tak – rzekł Seaton cicho i powoli. – Ale ciała Memlinga są wciąż całe.

Wpatrywaliśmy się w płomienie. Były – są – intensywnie czerwone i żółte.

– Zbawieni są trochę zarozumiali, nie sądzisz? – powiedział Paul.

– Na jakich to instrumentach grają anioły nad bramami nieba? – zapytałem.

Podniósł wzrok.

– Obój. Dzwon. Trąbka. A potem? – wyteżył wzrok, jak tylko mógł, na odległość.

– Cytra? Lira korbowa? – zasugerowałem.

– Lira korbowa? Jak na końcu *Winterreise*. Co to jest? *Der Leiermann*? *Drehleier*.
Bóg raczy wiedzieć. On najpewniej wie.

– Oczywiście – ciągnął dalej – to owoc rabunku na pełnym morzu. Wiosna 1473 roku. Kapitan Paul Benecke. Kapr z Danzigu. Dla mnie to brzmi jak grzeczne określenie pirata. Burgundzka galera na Kanale, zdobyta, zajęta, splądrowana, mimo że między Burgundią a Hanzą panował pokój. Wymyślali wszelkiego rodzaju akrobacje, by usprawiedliwić akt jawnego piractwa. Och, nie zauważyliśmy burgundzkiej bandery! Ojej! Brzmi znajomo? Porządną łup: sukna, tkaniny, pieniądze i tak dalej. Łupy. Grabież. Rabunek w biały dzień. Burgundzcy i wielu innych pilnie próbowali wszystko odzyskać. Nawet papież się wtrącił. Ale oto jest – i tu pozostanie, jak sądzę.

– Jest piękne i straszliwe zarazem – powiedziałem.

– Tak, jest. Powiedz mi, Alex, czy utożsamiasz się z potępionymi?

– Och, tak – odpowiedziałem. – A ty?

– Obawiam się, że tak, stary druhu. Powiedziałbym, że to dość okrutny los. Zwłaszcza dla kobiet.

Poszarpany, przypominający chrząszcza diabeł unosił parę związanych ze sobą postaci, wijących się w krzyżu udręki, gdy wszystkie drugie szanse dawno już przepadły.

Usiedliśmy w kawiarni przy Heiliger Geist Gasse. Przez okna widzieliśmy deszcz ze śniegiem i przechodniów pochylonych pod naporem wirującego wiatru. Wielka wieża Kościoła Mariackiego była czarna i groźna. Wysoko spiętrzone chmury sunęły obok niej. W powietrze wkradał się mrok.

– Jesteś – powiedziałem – bardzo dobrym nauczycielem i znakomitym uczonym.

Napiszę to z rozmachem do Berlina. Nie spodziewałem się niczego innego.

– To bardzo miłe – odparł powoli. – To coś znaczący. Czasami wszystko było dość trudne.

– Mogę sobie wyobrazić.

– Dla ciebie również.

– Wojna przerwała wiele spraw. Biblioteki, które chciałbym odwiedzić, są teraz trudno dostępne. Młodzi napierają na bramy. My, starsi, czasem nie mamy już energii ani przekonania.

Skinął ponuro głową i sączyliśmy kawę.

– Nad czym teraz pracujesz? – zapytałem. – Czy w Bibliotece Miejskiej są użyteczne materiały?

– Och, to prawdziwa szkatuła skarbów – powiedział, a jego twarz się rozjaśniła. Potem jednak zapadła cisza, zawahanie. Czy wcześniej to zauważyłem? Być może się myliłem; może wyobrażałem sobie coś, czego tam nie było. A jednak pojawił się cień.

– Wiesz – ciągnął – dokumentów jest mnóstwo. Aktorzy potrzebowali zezwoleń – zezwoleń, w liczbie mnogiej – by występować w miastach hanzeatyckich. Sądzę,

że Elbing również byłby wart zbadania. Potrzebuję specjalnego pozwolenia, by podróżować po obszarze nadmorskim, ale to da się załatwić. Można by zacząć wypełniać szczegóły ich wędrówek po Berlinie i Hamburgu. Repertuar, członkowie zespołów, występy.

– Königsberg?

– Owszem, i dalej, w głąb XVIII wieku oraz wielkich osiemnastowiecznych szaleństw szekspirowskich.

Zamilkł. Być może nie zawałałem się wystarczająco długo.

– Cóż, pracy na pewno ci nie zabraknie – powiedziałem. – Brzmi to wszystko bardzo obiecująco. Z niecierpliwością czekam na książkę. Albo książki.

Ale nie odpowiedział.

– Nie wiem, czy interesujesz się teatrem – powiedział nagle.

– Cóż, tak... w dość dyletancki sposób.

– A czy interesuje cię opętanie?

– Męskie czy żeńskie? – Uśmiechnąłem się.

– Och, żeńskie przez męskie oczywiście. I diabelskie opętanie kobiety. I jidysz? Jak z twoim jidysz?

Na to pytanie istniała odpowiedź. Ale w Elbingu budowano także U-Booty. Na to niezadane pytanie odpowiedzi nie miałem.

Rozdział 11.

Siedziałem w mojej wieży i rozmyślałem o literaturze, jak miałem w zwyczaju. Namówiłem właścicielkę pensjonatu, panią Berwald, by otworzyła drzwi specjalnie dla mnie. Byłem jedynym gościem. Było zimno, bo ogrzewanie tam nie dochodziło, ale z okien rozciągał się widok na drzewa i poprzez drzewa na Zatokę.

Effi nad szarym Bałtykiem, wśród wydym, szeleszczących traw i sosen, w starym, dudniącym echem domu z wypchanym krokodylem i duchem Chińczyka szurającym po strychu. „O szóstej pięćdziesiąt będzie w Berlinie” – mówi Innstetten, gdy patrzą, jak ekspres gdański przelatuje z hukiem. Effi chce stąd uciec. Effi, czarująca cudzoziółnica, zmiażdżona przez sztywne, męskie, pruskie konwenanse. Madame Bovary Fontanego, jego Anna Karenina – choć sam skromnie to kwestionował. Bezbrzeżna melancholia. Wzniosta klęska. Von Crampas, jej kochanek – „niemal Polak”, jak ktoś mówi. So ein halber Pole. Nie całkiem dżentelmen.

Tonio Kröger powraca do północnego miasta, w którym dorastał i które opuścił, jadąc na południe. Rodzinny dom zamieniono na bibliotekę miejską. W hotelu jest przesłuchiwany i niemal zatrzymany przez miejscowego policjanta, podejrzliwego wobec jego nazwiska i wyglądu. Opuścił Monachium; jest tylko przejazdem, w drodze na północ. Gdy podejrzenia policjanta zostają rozwiane, rusza dalej, podążając za przeszłością niczym duch.

A teraz trzecia książka, dostarczona osobiście dzień wcześniej. *Die schwarze Spinne* Gotthelfa – zgrabne, nowoczesne wydanie starej opowieści o arystokratycznej głupocie i okrucieństwie, o demonicznej pomocy oferowanej uciśnionym, o kobieciej odwadze

i – rzecz jasna – o karze. Czarny pająk zostaje uwięziony przez dobrą kobietę w zaciemnionej belce, lecz zawsze czeka, by znów go wypuszczono.

W środku znajdowała się krótka notatka, na małej, starannie złożonej kartce, napisana pewnym, precyzyjnym pismem – bez wątpienia nabytym w dobrych pensjach dla dziewcząt w San Francisco i Lozannie.

„Och, Alec, jesteś niezwykle *charmant*. Ale straszny z ciebie kłamca. *À bientôt, Victoria*”.

Przemknąłem między drzewami i przez ligustrowy żywopłót, który oddzielał wielki dom od mojego pensjonatu. Przejście wciąż tam było. Podkreślam: nie znajdowałem się tam nielegalnie. Pani Berwald mówiła, że rodzina wciąż nie ma nic przeciwko temu, by ulubieni goście spacerowali tam, gdy ich nie ma. Był styczeń; nie było ich. Z żywopłotu znów kapąta mi woda na kark.

Wszystko wciąż tam było. Zakrzywiona aleja lip prowadzonych w szpaler – moja ulubiona. Niska kamienna fontanna. Miążdżb o obcych, nieziemskich gałęziach. Ogromne buki, które kiedyś wydawały mi się podobne do nóg słonia.

Mógłbym to pokazać Seatonom. Dziesięć minut od ich drzwi wejściowych. Zainteresowaliby się. Victoria – pomyślałem – roześmiałaby się radośnie na widok tej lipowej alei.

Ale nie zrobiłem tego. Zatrzymałem wszystko dla siebie. Przytuliłem to do siebie i nie pozwoliłem odejść.

Rozdział 13.

„Ale, pani Lincoln, co pani sądziła o przedstawieniu?” – jak głosi ten okropny amerykański dowcip. Choć, niestety, w prymitywny sposób jest zabawny.

Cóż, spektakl był czymś niezwykle. *Die puste Kretschme*. Perec Hirschbein. *Großer Saal. Schützenhaus*, Danzig. Styczeń 1922 roku. Jak wszyscy niemieckojęzyczni rozumieć mniej więcej siedemdziesiąt procent mówionego jidysz bez większych trudności. Seatonowie również sprawiali wrażenie, jakby doskonale nadążali za akcją.

W pociągu powrotnym do Zoppotu Paul zaczął się rozwodzić nad tym, co właśnie zobaczyliśmy. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego jest dobrym nauczycielem. Zaangażowany, elokwentny, kompetentny, klarowny, pełen entuzjazmu. Robiłem w myślach notatki do mojego raportu. Wyłożył interesujące aspekty tekstu.

Victoria spojrzała na niego przelotnie, po czym utkwiała wzrok w oknie, w grzechoczącej ciemności.

– Złożoność, pasja postaci centralnej. Jest rozdarta na dwoje przez gwałtowną miłość do Itzika i wstyd z powodu zdrady ojca. Jakby nie mogła sobie pomóc. Zagubiona dusza w udręce. A potem – i to interesuje mnie szczególnie – jest jeszcze aspekt performatywny tego utworu. Tak wiele w naszym teatrze to słowa – słowa, słowa, słowa – uśmiechnął się przy tym. – Rozmowy, riposty, błyskotliwa wymiana zdań. A przecież teatr, scena to także przestrzeń ruchu, działania, gestu, fizycznych wydarzeń. Tak było za czasów Szekspira i Jonsona. Widzę to teraz w twórczości niektórych Irlandczyków. Byłem na sztuce Yeatsa

w Dublinie. Rytuał, stylizowany ruch, olśniewające kostiumy, taniec. W *Kretschme* fizyczna intensywność Mety i Itzika była żarliwa, zapalna. Ona oświadcza, że mogłaby go pożreć. Wierzę jej. Ale wybaczenie. Ulegam zawodowej słabości, którą być może rozpoznasz, Alex: za dużo mówię. Vicki czasem mi to wypomina. A ty, co sądzisz o spektaklu?

Zauważyłem, że nie zapytał Victorii.

– Myślę, że się zgadzamy – odpowiedziałem. – To rzeczywiście utwór pełen pasji. A muzyka, taniec, obłąkane i diabelskie obsypywanie Mety darami. Tak, niezwykle. Ten nadmiar fizyczności – tak. A ty, Victoria? – Spojrzałem na nią.

Odwróciła się od okna.

– Tak, ta dzika muzyka, taniec. To mi się podobało. Myślę, że sztuka spodoba się w Nowym Jorku. Może kiedyś ktoś zrobi z niej operetkę. Akcja w sztetlu, muzyka klezmerska, jidysz. Wszyscy zarobią na tym mnóstwo pieniędzy. To fajne show. Jest cool*.

– Być może pojawią się problemy z cenzurą – zasugerowałem łagodnie. – To raczej bardziej surowe niż „cool”.

Uśmiechnęła się. – Teatr nowojorski jest mniej kontrolowany niż londyński. Nie mamy lorda szambelana. Prawda, Paul?

– Nie w tym sensie. Ale macie panią Grundy – odparł Paul.

– A co z niedawnym paleniem książek w Bostonie? Anderson, prawda? I biedny stary Whitman? – zapytałem żartobliwie.

Victoria machnęła ręką.

– Ludzie lubią patrzeć, jak okoliczności rozrywają kobietę na strzępy – powiedziała cicho. – Biedna dziewczyna zostaje przeleciana, prawda?

– „Kobieta płaci”, jak ujął to Hardy – mruknąłem.

– Mógłbyś być wobec tego mniej pobłażliwy. Nie, ona zostaje przeleciana – powiedziała Vicki powoli, patrząc nam w oczy. Odwróciła się z powrotem do okna. – Może wszystkie zostajemy przeleciane. W pociągu jadącym donikąd.

Przez resztę krótkiej podróży Paul i ja rozmawialiśmy o sprawach pozornie obojętnych. W rzeczywistości wcale takie nie były. Obejmowały (bez ustalania hierarchii): rozwój dramatu irlandzkiego od czasu zamieszek z 1907 roku wokół „Playboya” (to dopiero był kawał dzikiej krytyki); pewne tendencje w prozie – opowiadania George’a Moore’a, niedawno opublikowany *Künstlerroman* Joyce’a (jeśli to rzeczywiście było to); metrykę jako nośnik sensu w poezji; oraz powszechne stosowanie współbrzmień zamiast tradycyjnego rymu w nowoczesnej poezji brytyjskiej. To właściwie wszystko. Tak.

Po przyjeździe do Zoppotu rozstaliśmy się u góry Seestraße. Victoria i Paul zeszli razem pustą ulicą, ramię w ramię. Ja obrałem wyższą drogę do mojej wieży, sam.

„Chodźmy więc, ty i ja” – pomyślałem.

* Muszę zwrócić uwagę na to, że użycie przez Victorię słowa „cool” w znaczeniu „bardzo dobry” wyprzedza pierwsze odnotowane użycie tego słowa w tym znaczeniu o wiele lat. Ale przysięgam, że właśnie to powiedziała. Chyba jest właśnie taką dziewczyną. AS